

Nr. 18. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **15. Września.**

Módl się i pracuj!

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

W stanisławowskim obwodzie, w miasteczku o dwie mile od Stanisławowa żył kilkadziesiąt lat temu w dobrach rządowych nie bogaty ale poczciwy gospodarz. Miał on żonę i jednego chłopca Szymunia, którego nad życie miłował. Szymuś miał wielką ochotę do nauki. Ojciec wiedząc jaki to wielki skarb człowieka jest nauka — posyłał go pilnie do szkoły, która dotąd jest jeszcze w onem miasteczku i kupował mu chętnie potrzebne książki i papiery.

Ale to aż uciecha była gdy Szymuś przyszedł do domu a zaczął przecudne rzeczy opowiadać, co w szkole słyszał,

albo czytał ojcu ze swych książek rady gospodarskie lub inne zajmujące i nauczające rzeczy.

Spokój i wesele było wtenczas w domu. Nie było tam zbytku, ale też i biedy nie było, bo gdzie gospodarz pracowity, tam i nędza nie tak łatwo się zakradnie.

Ale częstokroć ani się człowiek spodziewa kiedy go nieszczęście albo utrapienie opanuje. Tak też i tu tak się stało. Kiedy Szymuś kończył trzecią a właśnie ostatnią klasę owej szkółki, zapadł ojciec w mocną chorobę i długi czas nie wychodził z łóżka. Codzień było mu gorzej i gorzej, że ani myśli o wyzdrowieniu. I patrzcież! Co tam było starania, co przeróżnych zabiegów, zjeżdżali się lekarze, a biedna żona sprzedawała co mogła, aby im płacić — ale to wszystko nic nie pomogło, albowiem jednego dnia po spowiedzi i przyjęciu śś. Sakramentów zasnął ów gospodarz snem wiecznym pobłogosławiwszy żonę i Szymusia sierotę.

Dopieroż co tam było płaczu i narzekania! Szymuś, ten już prawdziwie nie wiedział czy żyje na tym świecie, tak mu żal było dobrego ojca!

Nie chciał on porzucić szkoły w której mu nauka niezmiernie zasmakowała; to też przychodzi pewnego razu do matki i tak jej powiada:

— Wiem, mamo moja, żeśmy teraz bardzo zubożeli, wiem że mało co mamy do życia, jednak nie odmawiaj mi tego o co cię prosić będę. Oto mam nadzwyczajnie wielką ochotę do nauki, poszlej mię więc do większego miasta; może mi Bóg poszczęści że znajdę miłosiernych ludzi, którzy mię wesprą, a potem może zostanę czem na świecie... toć i Tobie i całej rodzinie będę mógł być pomocą.

— Oj! jakżebym pragnęła twojego szczęścia! — odpowie zapłakana matka — Gdybym mogła nieba bym ci przychyliła; ale widzisz że dla nas dwojga w domu nawet nie wystarczy na wyżywienie, a nie dopiero zkądżebym była w stanie utrzymywać cię w mieście?...

— Nie, kochana matko! nie gniewaj się za to co powiem — rzeknie Szymuś — ale ja się muszę uczyć, pójdę kędy mię oczy poniosą, a Bóg zmiłuje się nademną sierotą.

— I dokądbyś ty poszedł, moje dziecko? — powie matka — nieznajomy, mały i bez niczego?...

— Ot dokąd?.. Do Lwowa pójdę — mówi Szymuś — mam ufność w Bogu, że w tem wielkiem mieście nie zginę!

Wtedy powiedziała matka:

— Niech się dzieje wola Boska! Idź mój synu, ja ci pobłogosławię, ale na drogę nic ci dać nie mogę...

Upadł tedy ucieszony Szymuś do nóg swojej matki, całował ją po rękach, potem ukląkł przed obrazem Pana Jezusa i długo a gorąco modlił się prosząc go o łaskę i opiekę nad nim.

Ukończywszy modlitwę poszedł zaraz do nauczyciela szkółki, wziął od niego zaświadczenie na dowód jako się pilnie uczył i wzorowo postępował.

Wziął także od księdza proboszcza metrykę i zaświadczenie moralności, a mając już to wszystko stanął przed matką i oznajmił, że już gotów do podróży.

— Masz tu kochany synu — rzeknie matka — chleba, trochę krup i kilka krajcarów, tyle na ile mię stać ubogą wdowę. A teraz niech cię Bóg prowadzi i Najświętsza Panna królowa niebieska!

Rozpłakał się Szymuś niezmiernie, bo mu żal było opuścić ojczystą strzechę, jednak chęć do nauki stłumiła w nim smutek, pożegnał serdecznie zapłakaną matkę, nareszcie zarzuciwszy worek z krupami na plecy — poszedł w imię Boże szukać przytułku u ludzi.

Cały prawie tydzień trwała jego podróż do Lwowa. Wyszedłszy bowiem w środę z domu, dopiero we wtorek przed wieczorem doszedł na miejsce przeznaczenia. Nie mógł on iść dużym krokiem, boć to chłopczyna był maleńki, za-

ledwie dziewięć lat liczący, temci bardziej że musiał nieść krupy, których mało co ubywało, ponieważ gdzie zaszedł dobrzy ludzie dawali mu jeść i przyjmowali gościnnie, nie żądając zapłaty.

Przyszedłszy do Lwowa ulicą Łyczakowską stanął Szymuś pod klasztorem OO. Bernardynów i patrząc na około zadumał się na widok wielkich murowanych kamienic, które pierwszy raz w życiu obaczył, i tak mu się prykro zrobiło w duszy że nie mógł ani kroku dalej postąpić. Ni on, znajomych ni krewnych nie miał w tem mieście; nie wiedział nawet gdzie się obrócić — martwił się więc nie wiedząc gdzie przenocuje i obawiał się aby go jako włóczęgę nie wzięto do aresztu.

Owoż usiadł sobie pod figurą błogosławionego Jana z Dukli, która przed klasztorem stoi, i rozpłakawszy się żałośnie, zanosił modły do Boga o pomoc i zmiłowanie.

Wiele ludzi przechodziło tamtędy; każdy spojrzał tylko obojętnie na biednego Szumunia i odchodził dalej. Aż na koniec idzie koło figury pan jakiś; usłyszawszy rzewny płacz, stanął na chwilę i patrzy. I obaczył zakurzonego biednego chłopca, jak się modlił i płakał, więc litując się nad nim przystąpił ku niemu i tak się zapytał:

— A czego ty tak płaczesz mój chłopcze, czy ci co zginęło?

— Nic mnie nie zginęło, proszę wielmożnego pana — odrzekł Szymuś.

— A więc czegoż płaczesz?

— Jestem biednym sierotą — odpowiedział Szymuś — mam wielką ochotę do nauki i dlatego przyszedłem się uczyć do Lwowa.

— Więc pewnie nie masz tu nikogo znajomego?

— Ani jednego człowieka nie znam w tem mieście — mówi Szymuś — przyszedłem tylko zdawszy się na Opatrzność Boską.

— I z dalaka ty idziesz?

— Idę proszę łaskawego pana od Stanisławowa od matki, która od śmierci ojca w wielkiej biedzie żyje.

Na te słowa zamyślał się ów pan, widać że rozmyślał jakąby dać radę biednemu chłopczynie, i tak się odezwał do niego:

— I ty masz z pewnością ochotę do nauki?

— O! i bardzo wielką, proszę wielmożnego pana — powie Szymuś — bo pocóżbym z tak daleka aż tutaj przychodził?..

— A więc zabierz worek i chodź ze mną — ja ci już wyrobię miejsce, jeżeli tylko będziesz chciał chodzić do szkoły.

I szli oba różnemi ulicami, aż z drugiej strony rynku weszli do kamienicy, w której ten pan mieszkał. Gdy weszli do przedpokoju, litościwy ów pan zawołał zaraz służącego, kazał od Szymusia odebrać worek z krupami i zrobić mu natychmiast posłanie, ażeby sobie dobrze wypoczął po długiej podróży.

Na drugi dzień zazaz z rana przywołał Szymusia do siebie i tak się do niego odzywa:

— Powiedzże mój chłopcze, jeszcze raz — czy ty masz szczere postanowienie pilnie i dobrze się uczyć?

Szymuniowi puściły się łzy z oczu i tak mu się serce ścisnęło że ani słowa nie mógł odpowiedzieć.

— Nie płacz chłopcze — rzecze natenczas litościwy opiekun Szymusia — poznaję już po tobie że prawdę mówisz i prawdziwą masz ochotę do nauki. Zostaniesz więc u mnie; ja ci dam utrzymanie, a za to będziesz usługiwał mojemu synowi, który z tobą razem będzie chodził do jednej klasy. Rano oczyścisz mu buty i suknie, i codziennie odprowadzisz go do szkoły i ze szkoły.

Szymuś skłonił się swojemu dobroczyńcy do kolan i z chęcią wszystkich jego słuchał rozkazów.

Tego jeszcze dnia poszedł z Antosiem, synem jego do szkoły i zaczął pilnie na wszystko uważać, co w szkole nauczyciel nauczał.

I tak ubiegło kilka lat. Dobroczyńca Szymusia sprawiał mu suknie, kupował mu książki, bo Szymuś dobrze się sprawował, dbał o jego synka Antosia, a co najwięcej że się bardzo gorliwie uczył. Wyrósł na przystojnego chłopca, ale nigdy nie był dumny, owszem zawsze był pokorny, spokojny, cichy — codzień długo uczył się wieczorami, czytał przeróżne książki, to też wiele umiał, a przed spaniem klękał przed krzyżykiem z Panem Jezusem, który pozostał mu jedyną pamiątką po ojcu i modlił się gorąco i dziękował Bogu za powodzenie w naukach i łaskę swego dobroczyńcy.

Pewnego dnia, kiedy Szymuś ukończył szóstą klasę łacińską, zawołał go tenże do siebie i tak mu rzecze:

— Widzę żeś już wyrósł na dużego chłopca, że jesteś bardzo pracowity i troskliwy o mojego syna, od którego, mogę powiedzieć otwarcie, daleko więcej umiesz — otoż chcę cię już od twojego dotychczasowego obowiązku uwolnić. Nie będziesz mieszkał w moim domu; nie dlatego żebym cię nie lubił, ale dlatego że cię uważam za dorosłego młodzieńca i ucznia do wyższych nauk przeznaczonego a zatem nie będziesz już syna mego obsługiwać, wynajdę ci w innym domu pomieszczenie, gdzie za naukę będziesz miał stancję, wikt i stosowne wynagrodzenie — a do mojego syna przychodź także codziennie na lekcję a za to będziesz miał odemnie kilka reńskich na miesiąc.

— Chętnie to zrobię, kochany opiekunie i dobrodzieju! odrzekł Szymuś — będę uczył Antosia, ale pieniędzy za to żadnych nie przyjmę i owszem do śmierci zachowam wdzięczność za to coś dla mnie uczynił.

Tak więc doszedł biedny Szymuś pracą i nauką do tego że miał znaczny dochód z lekcji które udzielał i matce regularnie zasiłek pieniężny posyłał.

Mijał rok po roku — Szymuś przy wielkiej pilności i chęci do nauki ukończył wszystkie szkoły, a naostatek i uniwersytet z wzorowem postępem. W ówczas zaprosił go do siebie opiekun i tak rzekł mu:

— Dziękuję ci bardzo za nauczanie mojego syna, który szczęśliwie przy twojej pomocy szkoły ukończył — Masz za to na pamiątkę odemnie złoty pierścień, a Bóg niech ci w życiu błogosławi, teraz bowiem możesz już sam zapracować na swe utrzymanie.

Z płaczem i żalem rozstał się Szymuś z swym dobrodziejem, podziękował mu za wszystko serdecznie — a lubo nauką i poczciwością dostąpił on później wysokiego znaczenia i poważania u spółobywateli, jednak nie zapominał nigdy biednych wspierał ich datkiem i zdrową radą i zachęcał do pracy i wytrwałości, bez których nikt do niczego doprowadzić nie może.

Miejcież i wy dziatki ochotę do wytrwałości i nauki a Opatrzność Boska krokami waszemi kierować będzie — i pamiętajcie że bez pracy nie będzie kołacy.

Chłopiec i skowronek.

— Czemu ty skowronku tak wysoko latasz
I piosenkę twoją weselem przeplatasz?
Wszakże musisz wiedzieć że u nas tak smutno!
Bo bracia ponoszą za kraj śmierć okrutną...

— „Wiem o tem, chłopczyku! odpowie skowronek,
Wiem jak dla was każdy bolesny jest dzionek!
Owoż w mojej piosnce nie znajdziesz wesela,
Bo ona modlitwą jest do Stworzyciela.“

— O! to spiewaj ptaszku, nuć do Pana Boga
Aby dla nas przyszłość zawitała błoga!
Abyśmy się szczęściem ojczyzny cieszyli,
Której służyć z serca pragnę każdej chwili.

— „Spiewam ja chłopczyku, spiewać nie przestanę,
Aby błagać Boga, wam osładzać ranę,
A już nie za długo weselej zanucę —
Gdy do polskiej ziemi na wiosnę powrócę....

Józef z Bochni.

PIELGRZYMKA.

III.

Śliczna droga prowadzi do Dobromila! Z obu stron rozciągają się zielonym łańcuchem góry wysokie, obrosłe chaszczami lub ciemnym, gęstym lasem. Z pomiędzy gór wypływa tu i owdzie strumień górski, żwawy i chyży i przeskakując z wyłomu w wyłom lub bujając po małej, dokoła wysokiemi szczytami otoczonej dolinie, miga się w końcu jak srebrna wstążeczka na zielonym kobiercu... Do gór przytula się tu i tam jakaś mała, szara wioszczyna, umajona zielenią licznych ogrodów i gaików — a tu po nad chatki drewniane sterczy wieżyczka kościoła z połyskującym krzyżem i unoszą się od czasu do czasu dźwięki kościelnego dzwonka....

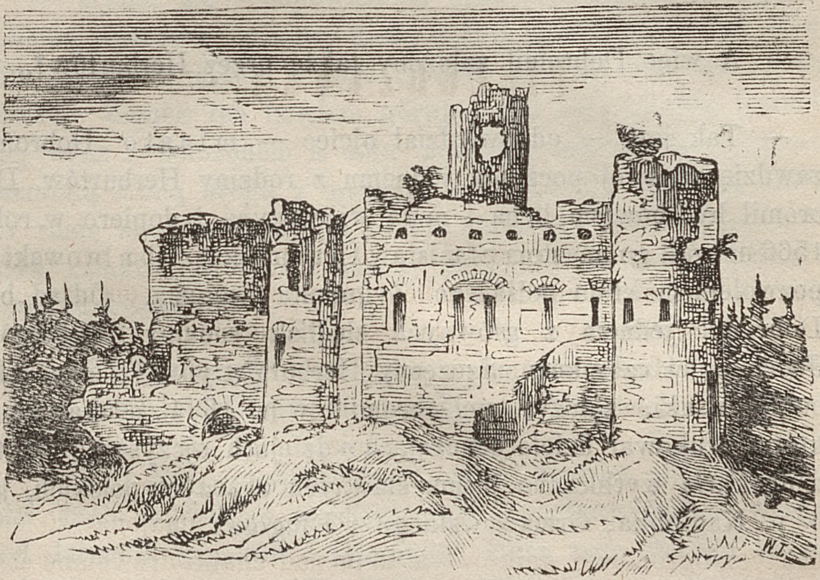
Śliczna to droga!... Karolek stąpał raźno przy boku ojca i rozglądał się na wszystkie strony, aby objąć okiem ten piękny widok. Co chwila czemś innem zajęty, co chwila podziwiając jakąś nową piękność przyrody — nie czuł Staś żadnego znużenia, lecz wesoło i krzepko dążył za ojcem, który mu po drodze rozmaite tłómaczył przedmioty.

Naraz skręciła się droga na bok i nowy widok, jeszcze piękniejszy i wspanialszy roztoczył się przed oczyma obu naszych wędrowców.

— Patrz Karolku! — ozwał się ojciec — oto widać zamek Herburtów.

— Gdzie? — zawołał Karolek ciekawie i wytężył oczy w stronę, którą mu ojciec wskazał.

Z dala rysowała się wysoka, regularnie zaokrąglona góra, na pół w mgłę osłonięta, na pół słonecznemi promieńmi oblana. Na wierzchołku tej góry wznosiła się ogromna ruina zamkowa. To szczątki zamku Herburtów.



Ruiny zamku w Dobromilu.

Ruiny te dziwnie pięknie wyglądały z daleka. Pełne powagi i dumy spoglądają one na dół, gdzie rozsiadły się sioła jak karły u stóp olbrzyma.

Karolek aż wykrzyknął z zachwycenia.

— Przypatrz się ruinom teraz z daleka, później oglądniemy je z bliska — odezwał się ojciec.

Długo stał Karolek i wpatrywał się w ten cudny widok starego zamczyska, aż nareszcie napomniał go ojciec że trzeba w dalszą udać się drogę, bo słońce wysunęło się już na sam środek nieba i skwar południowy począł mocno dokuczać.

Dobromil jest jednem z porządniejszych miasteczek wschodniej Galicji. Leży on w dolinie otoczonej zewsząd górami —

i rozściela się niejako u stóp starego zamczyska, wznoszącego się na wysokim, stromym szczycie górskim.

Gdy ojciec z Karolkiem weszli do miasta, zapytał ciekawy Karolek:

— A więc Dobromil założony także przez Herburtów?...

— Tak jest — odpowiedział ojciec — miasto Dobromil zawdzięcza swój początek jednemu z rodziny Herburtów. Dobromil był bowiem lichą i małą wioszczyną i dopiero w roku 1566 uczynił go miastem Stanisław Herburt, kasztelan lwowski za pozwoleniem króla polskiego Zygmunta Augusta. Odtąd był Dobromil jednem ż głównych siedlisk rodziny Herburtów. Jeden z jej członków, Szczęsny Herburt słynny z swej głębokiej nauki, założył w Dobromilu w r. 1611 drukarnię, w której drukował dzieła pouczające o dziejach ojczystych. W tej to drukarni wytłoczono pisma sławnych uczonych polskich, jak n. p. Kadłubka, Orzechowskiego i Długosza.

— Czy istnieje ta drukarnia dotąd? — zapytał Karolek.

— Nie — z słynnej drukarni dobromilskiej niema już teraz ani śladu i tylko imię jej pierwszego właściciela Jana Szeligi żyje dotąd między tutejszą ludnością. Są tu bowiem mieszczanie którzy się zowią Szeligami.

— A zamek oglądniemy? — pytał dalej Karolek.

— Jeżeli nie czujesz znużenia, to możemy się doń udać, lecz uprzedzić cię muszę że droga będzie bardzo uciążliwą — odpowiedział ojciec.

Stromą, wysoką górą, przedzieloną tu i owdzie jakimś szerokim a głębokim jarem, wychodzi się na stare zamczysko Herburtów. Góra ta obrośnięta gęstym lasem świerkowym i poplątanemi chaszczami — pomiędzy którymi wije się kręta

droga na wierzchołek. Droga ta, szeroka i twardo wybita zadziwiła Karolka, który zapytał ojca:

— Droga ta zrobiona zapewne niedawno?

— Mylisz się — odpowiedział ojciec. Początek tej drogi pochodzi jeszcze z czasów, kiedy w tym zamku mieszkali słynni Herburtowie, kiedy w jego murach roili się waleczni rycerze polscy. Zamek ten bowiem górując nad całą okolicą i broniąc jej wraz z położonem u dołu miastem, musiał być połączony szeroką i bitą drogą z miastem, a to już dla tego aby można w razie napadu nieprzyjaciół lub oblężenia dowozić dla obrońców zamkowych broń i zasoby wojenne, jak działa, proch, ołów, żywność i t. d.

— A więc zamek Herburtów wytrzymał zapewne nie jeden napad nieprzyjacielski? — podchwycił Karolek.

— Tak jest — odpowiedział ojciec. Stawiał on nieraz mężnie czoło najezdcom polskiej ziemi i powstrzymywał wrogów od dalszych napadów i rabunków. Mury tego starego zamku, od którego nas już tylko krótka dzieli droga, odbiły nie jeden cios Kozaków i Szwedów podczas wojen za króla Jana Kazimierza.

Podczas tej rozmowy doszedł ojciec z Karolkiem na szczyt góry i stanęli u stóp zamku. Dumnie i sędziwie wznosił się ten starożytny gmach w górę, a choć w połowie w gruzach, choć popękany i od niepogody sczerniały, przedstawiał olbrzyma, którego wiek długi i burze losu złamać nie zdołały.

Długo wpatrywał się Karolek w wspaniałe mury zamku. Mały chłopczyna uczuł dziwną boleść i smutek w swem sercu. Wszakżeż patrzał na stare ślady sławy i potęgi swej ojczyzny... A któż z was, moi czytelnicy, nie kocha tej pięknej, drogiej naszej ojczyzny?...

Ojciec i Karolek stali pod zamkiem w niemem zadumaniu.. Przed nimi wznosiły się szare mury zamku, dokoła nich

szumiał uroczyście las gęsty — a nad głowami jasny roztaczał się błękit nieba...

Ojciec przerwał wreszcie tę ciszę.

— Patrz Karolku — odezwał się — jak piękny z tej góry roztacza się widok.

Karolek spoglądnął i wydał okrzyk podziwienia.

Cudny to też widok od zamku Herburtów! Całą okolicę na kilka mil dokoła widać jakby na dłoni. Jak kobierzec roztacza się ku północy ziemia sanocka, zamknięta wysokiemi górami — po bokach sterczą długiemi rzędami małe wzgórza z pomiędzy łanów zboża i zielone łąki, z pośród których połyskuje znowu lśniąca wstęga rzeki Strwiąży.

— Teraz zwróć się w inną stronę — rzekł ojciec do Karolka i wskazał mu z drugiej strony widok zamku.

— To skały! zawołał Karolek.

— Pokazuję ci je dla tego bo do tych nagich, kamienistych załomów wiąże się piękne podanie czyli baśń ludowa.

— Lud prosty — mówił dalej ojciec — jak ci wiadomo nieoświecony, lubi czasem wierzyć w pewne zabobonne, nienaturalne rzeczy. Ztąd krąży między nim tyle podań i baśni, które jakkolwiek są zupełnie nieprawdziwe, są mimo to nieraz bardzo piękne. Jedną z takich baśni jest podanie o Herburtach. Oto lud prosty opowiada sobie że każdy Herburt zmieniał się po śmierci w siwego sokoła....

— Ależ to być nie mogło! odezwał się Karolek.

— Jużciż że nie — odpowiedział ojciec — Jestto tylko baśń ludowa ale bardzo piękna, bo zamyka w sobie pewną myśl wzniosłą. Herburtowie byli dzielnymi wojownikami i dla tego też myśli lud prosty że się przemieniają w sokołów, o których ci wiadomo że są najśmielszemi i najwspanialszemi między ptactwem. Lecz wracam się do tego podania. Sokoły te krążyły zawsze po tych skałach, które

widzisz przed sobą i unosiły się po nad dawnym zamkiem Herburtów. Otóż lud twierdzi że tak długo tylko miała żyć rodzina Herburtów, dopóki jeden z jej członków nie zabije takiego sokoła. Gdyby zaś który z Herburtów zabił jednego z tych sokołów, w których się podług bajecznego zdania ludu przemieniali Herburtowie — to już miał ymrzeć cały ród Herburtów. Opowiada więc lud dalej że ostatni z rodziny Herburtów był wdowcem i miał tylko jedynaka synka. Herburt ów wybrał się raz na polowanie i ujrzawszy sokoła na tych skałach, zastrzelił go. I oto miało się spełnić przeznaczenie. Herburt powróciwszy z polowania do domu znalazł swego małego synka na katafalku — a niebawem umarł sam ze zgryzoty i rozpaczy. Nieprawdaż że podanie to jest nieprawdopodobne i że tak stać się nie mogło?... To jednak nie przeszkadza że baśń ta ludowa jest wcale pięknie ułożoną...

Po tych słowach udał się ojciec napowrót do miasta. W pół drogi ujrzał Karolek jakieś wieżyczki, które z pomiędzy zieleni dwóch drzewami okrytych gór sterczały.

— A to co? — zapytał ojca.

— To jest klasztor OO. Bazyljanów, założony przez Herburtów, którzy zawsze gorliwie starali się o chwałę Bożą. Klasztor ten utrzymuje się dotąd w najlepszym stanie, a w jego świątyni modlą sią OO. Bazyljanie za duszę swych dobrodziejów, walecznych w boju a bogobojnych w pokoju Herburtów.

Już było dobrze z południa, więc ojciec pospieszył z Karolkiem do miasta, aby tam nieco wypocząwszy udać się w dalszą pielgrzymkę.

BURSZTYN.

Oleś z Marcinkiem smucili się bardzo, bo Tatko odjechał do Krakowa, nie miał im więc kto opowiadać o rzeczach, których jeszcze nie znali: to też w czasie wolnym ustawicznie

wyglądali oknem czyli powóz nie zajedzie, w którym miał przyjechać tak niecierpliwie oczekiwany ojciec.

Właśnie tydzień dobiegał już kresu gdy Marcinek z Olesiem, oczekując przyjazdu Tatka, siedzieli na darniowej kanapie przed domem i chciwie patrzyli w ową stronę skąd Tatko miał przyjechać.

Naraz obaczyli tuman kurzu, a wśród niego powóz, który z daleka już coraz lepiej poznawać zaczynali.

— Tatko jedzie! zawołał uradowany Oleś.

— Tatko! Tatko! powtórzył Marcinek klaszcząc w dłonie.

Zaledwie po kilku minutach stanął powóz przed bramą, Marcinek z Olesiem czule witali długo niewidzianego ojca i towarzyszyli mu skacząc z radości do pokoju, w którym ich przybycia oczekiwała Mama.

Służący przyniósł natychmiast zakupione rzeczy w Krakowie, a ojciec począł takowe wyjmować i układać na stole.

Na boku położył piankową cygarniczkę z bursztynem.

Podobała się ona chłopcom niezmiernie. Marcinek wziął ją zaraz do ręki i oglądając dokoła powiada do Olesia:

— Ależ ona musi być droga!... Jaka bielutka — jak śnieg

— Mnie się najbardziej podoba przy niej to żółte szkiełko. Jakie ono piękne! rzekł Oleś.

Dosłyszawszy ojciec ich rozmowę, przemówił do nich:

— To nie szkiełko, moje dzieci, to bursztyn.

— A coż to jest, proszę Tatka, ten bursztyn? — zapytał ciekawy Oleś.

— Teraz niemam czasu — odrzekł ojciec — ale po południu to wam opowiem o bursztynie, bo będzie dosyć czasu, wszak to dzisiaj niedziela.

Ucałowali Tatka i Mamę i poszli pobawić się przed objaden. Po objedzie zaraz przyszli do pokoju Tatka i prosili bardzo aby mi opowiedział o bursztynie.

— Dobrze, moje chłopcy — powie ojciec — pomimo żem strudzoy podróżą, opowiem wam o nim, aby zaspokoić ciekawość waszą. Słyszeliście już o wielu rzeczach, a bardzo to pięknie że się staracie dowiedzieć o coraz innych, o których wiedzieć jest nader pożytecznie. Macie ochotę posiadać wiele wiadomości — widzę więc że chcecie być światłymi ludźmi, a tacy w świecie zawsze mają szacunek i poważanie. Byliście już nieraz ze mną w lesie, widzieliście tedy na sosnowych drzewach żółtą żywicę, która z nich wypływa.

— O! widzieliśmy nieraz! — zawołali chłopcy.

— Owoż bursztyn — rzecze ojciec — nie jest niczem innem jeno skamieniałą żywicą drzewną.

— To proszę Tatka bursztyn w sosnowych lasach się znajduje? zapytał Oleś.

— Uważajcie tylko, moje dzieci — powiedział ojciec — a o wszystkiem się dowiecie.

Chłopcy usiedli sobie koło Tatka a on im tak mówił dalej:

— W bardzo dawnych czasach rosły pewne drzewa na ziemi, z których już ani śladu nie pozostało do dzisiaj, a były one o ile uczeni dymniemywać się mogą, podobne do naszych sosen. Z nich to pozostała tylko żywica, która w bursztyn zamieniona, została pamiątką ich istnienia niegdyś na kuli ziemskiej.

— A jakimże sposobem z żywicy powstał bursztyn? — wtrącił Marcinek.

— Wiecie już z histroji biblijnej — opowiadał Tatko — że przed kilku tysiącami lat był potop na ziemi — a wtenczas

woda ogromne sprawiła spustoszenie. Waliła góry, niszczyła lasy i wszystko unosiła na rozhukanej fali.

Wreszcie potworzyła sobie koryta i łożyska, w skutek czego powstały rzeki i morza, które pochłonęły w siebie jedną część lasów, znajdujących się przedtem na stałym lądzie. Na tych drzewach znajdowała się wielka ilość żywicy, która skamienieć musiała, a dziś wydobyta, bursztynem nazwana, po świecie się rozchodzi.

— A jakże to ludzie wiedzieć mogą że bursztyn był przedtem żywicą, kiedy on taki twardy? — dodał Oleś.

— To bardzo łatwo odgadnąć — powiedział ojciec — Często napotykają ludzie w bursztynie kawałeczki drzewa, robaczka, muszkę, albo kroplę wody, a więc gdyby bursztyn nie był dawniej miękką żywicą, nie mógłby tego mieć w sobie.

— A teraz proszę Tatka powiedzieć nam gdzie się bursztyn znajduje? — rzekł Marcinek.

Najczęściej znajdują go na wybrzeżach Bałtyckiego morza w piasku i glinie, a szczególnie w okolicach Piławy; znachodzą go również w głębi kraju w obu Prusiech, w Augustowskiem, Płockiem i W. ks. Poznańskiem; bardzo często także w lasach sosnowych. Najobficiej jednak bursztyn wyrzuca morze, a bursztyniarze łowią go sieciami jak ryby. W morzu bałtyckiem jest ogromna ilość bursztynu, z czego wnosić należy że tu najwięcej żywicy z drzewem zatonąć musiało.

(Dokończenie nastąpi.)

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1863.